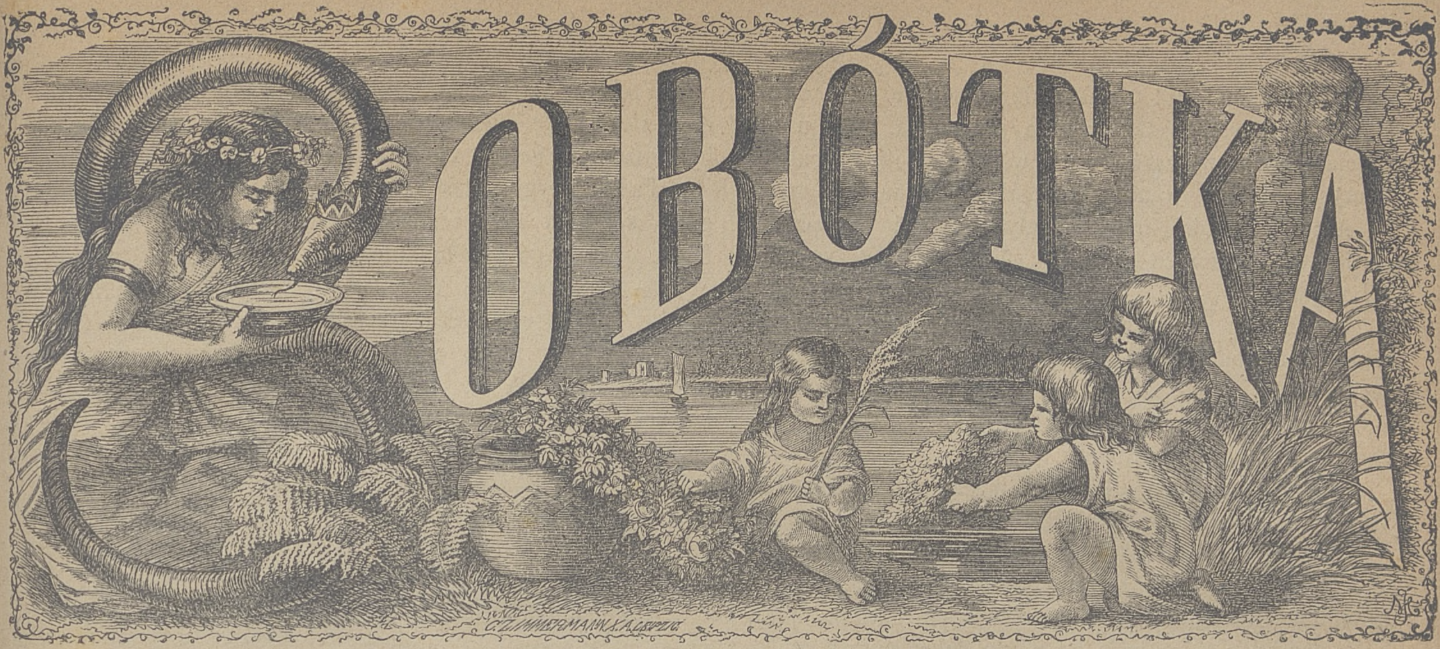


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr

№ 8. **Poznań, dnia 20 Lutego 1869.** **Rok. I.**

AMERYKANIN.

Powieść z czasów Kościuszki

napisał **Wł. K. Wójcicki.**

(Dalszy ciąg.)

Raciborski parsknął śmiechem i o mało się nie zadławił konfiturami, które zajadał łakomie. Kniaziewicz awtórzył mu radośnie, Potocki uśmiech chciał ukryć, a Walenty odwrócił głowę i usta zasłonił serwetą. —

Zaremba z początku poczerwieniał, ale potém zaczął śmiać się serdecznie. —

— A żeby was kurki podziobały, mówił poczciwy wojak, nic ukryć przed nimi nie można.

Morski, który nie wiedział powodu tak nagłéj wesołości, ale więcéj się domyślał, rzekł do gospodarza.

— Ej! Stasiu! zaczyna szydło wyłazić z worka! Zapewnie habrowe a śliczne oczka panny Orlewskiéj zraniły serce konfederata!

Raciborski na nowo parsknął śmiechem i kończąc kieliszek węgrzyna, o mało się co nie zachłysnął. — Rotmistrz Potocki poważnie nastroił oblicze, ale Zaremba zaczął się śmiać tak radośnie, że Morski zmiarkował, iż się pomylił w swoich domysłach. Rzucił okiem na Kniaziewicza: młody porucznik siedział oblany rumieńcem, jakby na rozpalonych węglach; sam nie wiedział, co z sobą robić, czy dzielić radość swoich towarzyszy, czy milczeniem pokryć odpowiedź. —

Ale doświadczony poseł łatwo odkrył, co się w sercu jego działo: ujął więc kieliszek i rzekł:

— A więc nieznanéj bogdanki naszego gospodarza piję zdrowie.

— Za pozwoleniem, mówi Zaremba, takie zdrowie wypijemy z zapleśniałego gąsiorka.

— Ja tego zdrowia pić nie mogę, zawołał Raciborski.

— A to dla czego? pyta gospodarz, patrząc surowo i groźnie w oczy kadetowi.

— Bo nie chcę kłamać, zwodzić pana posła — odrzekł — my kochając szczerze naszego zacnego rotmistrza, znamy dobrze jego bogdankę! Wymieniam więc ją głośno: Wiwat panna Brygida Żurowska!

Zaremba ochłonął z wzrastającego już gniewu: rozchmurzyło się jego szlachetne oblicze, odetchnął tak swobodnie, jakby mu spadł kamień z piersi, pobiegł do Raciborskiego, a ściskając go serdecznie w swoich objęciach, zawołał:

— Teraz pijmy! niech każdy wychyli zdrowie téj, co kocha!

Morski podniósł poważnie puhar w górę — i rzekł:

— Moja bogdanka z dwojgiem aniołów w mogile schowana. Jestem sam wdowiec, i więcéj ślubów małżeńskich nie powtórzę! Ale jestem na służbie Rzeczypospolitéj — to nasza wszystkich bogdanka. Przed wszystkiemi wznoszę jéj zdrowie!

Toast ten wychylono z zapałem.

— Szkoda, że nie ma w naszém gronie naszego jenerała, mówił Kniaziewicz, ochłonąwszy ze wzruszenia. —

— Smutny i smutny zawsze! dodał Potocki.

— Nasze życie, to nie jak wianki wić, moi przyjaciele, rzekł poseł. Byłem świadkiem niedawno wielkiéj radości w stolicy; bogdajbym nie patrzył i na wielki smutek. Zbierają się groźne chmury na pogodném dotąd niebie: czy Bóg zażegna burzę — to przyszłość pokaże.

Biedny Tadeusz! od pierwszéj młodości doznawa

ciężkich zmian losu! Zyskał sławę, piękne imię, a troska trzyma się go tak wiernie jak szabla. Nie uwierzycie z jakim w czasie sejmu wspominano go zapałem. Wszyscy mówili o nim, wyliczali waleczne jego czyny w Ameryce, które mu zjednały przyjaźń i szacunek dwóch największych ludzi w świecie: Waszyngtona i Lafajeta!

— A my go zarówno szanujemy, jak kochamy, rzekł Zaremba: daléj towarzysze na zdrowie naszego jenerała! —

Raciborski w téj chwili wbiegł do alkowy i dał znak powiewem chustki.

Kiedy wzniesiono kielichy, naraz huk moździerza zabrzmiał i wystrzały ręcznéj broni!

— Co to jest! krzyknął gospodarz.

— Tak się pije zdrowie naszego jenerała, odrzekł spokojnie Raciborski: bo w dymie prochowym, przy huku armat — jego imię na nowo się uświetni!

Zaremba porwał za szyję kadeta i ucałował w głowę:

— Miałem cię za krogulczyka, mówił rotmistrz, rozrzewnionym głosem, a ty zaczynasz porastać w orle piórka. — Ale zkądżeś u djaska wziął moździerza?

— Pożyczyłem go od księdza proboszcza od Fary, co go chowa na rezurekcyą wielkanocną. Przecież wiesz, rotmistrzu, że nasza artylerya o dwie mile jest na leży. —

Rozruch, który powstał w mieście na te strzały, wkrótce się uspokoił.

Walenty wcześnie wybiegł i uprzedził panią swoję i panny, ażeby się nie przestraszyły.

— Cóż tam? bawią się wesoło? zapytała kredencerza panna Brygida, zawezwawszy go do pokoju Toci.

— Bardzo wesoło — to nie powiem, ale ochoczo, odrzekł Walenty. —

— A czyjeż zdrowie pili?

— Pierwsze wypili panny Brygidy Żurowskiej, a naszéj kochanéj pani, i to mówiąc, pocałował ją w rękę.

Zakraśniała żywym rumieńcem poczciwa ciotka, ale ochłonąwszy ze wzruszenia, chciała daléj indagacye prowadzić — kiedy rozległ się huk moździerza i ręcznéj broni, a Walenty zawołał radośnie:

— Teraz piją zdrowie naszego kochanego jenerała!

Wymówiwszy te słowa, rozpłakał się jak dziecko i ze zwieszoną głową wyszedł do przedpokoju!

Tocia, Tekla i ciotka wbiegły do sali, gdzie siedziała z mężem prezesowa.

— Huczne kawalerskie śniadanie, mówił z uśmiechem Żurowski: wesoło się bawią. —

— Gdzie jenerał? zapytała matka.

— Od rana, wyjechał do Połonnego; tak mi mówił Kniaziewicz, odrzekła panna Brygida. —

— No! moje panny, zacznijcie się powoli pakować — mówił poważnie prezes — bo niedługo opuścimy Międzybórz. Wracamy do swoich Ihnatowic, tam będzie nam wygodniéj, bo wszędzie dobrze, ale w domu najlepiéj. I doktór poleca to matce — i oszczędność każe, bo sakiewka coraz chudnie.

— Jak prędko wyjedziemy, panie bracie?

— Dnia jeszcze nie wiem, ale niedługo, niedługo!

Tocia z przyjaciółką zbladły obiedwie na pierwsze ojca słowa, ale odetchnęły swobodniéj, gdy wyjazd ten był jeszcze niepewny i odwleczony.

Panna Brygida zasępiona wyszła do swego pokoju, gdzie spotkała kredencerza, siedzącego w kącie na kuferku, osowiałego i zadumanego.

— Poczciwy mój Walenty — rzekła drżącym głosem — niedługo opuszczamy Międzybórz!

— Wiem, wiem o tém, kiwając smutnie głową, mówił starzec. A co się stanie z naszym jenerałem i z naszą kochaną panienką?

— Niech Bóg się nimi i nami opiekuje — szukajmy w modlitwie pociechy i pomocy, mój kochany Walenty.

IX.

Nie zaniedbał Morski nazajutrz odwiedzić i złożyć swego uszanowania prezesostwu.

Żurowski rad był wielce posłowi sławnego sejmu, który ogłosił pamiętną ustawę trzeciego maja. Z zajęciem słuchał opowiadań Morskiego i natężył uwagę szczególnie, gdy tenże z zapałem mówił, jaki rozgłos miało imię Kościuszki na tym sejmie.*)

Morski przeszedł następnie do dworu króla Stanisława, uczonych czwartkowych obiadów: malował wymownie postacie zasiadających na nich literatów, powtarzał liczne dowcipy, które z zamku wybiegały na miasto, a ztąd po całéj Rzeczypospolitéj. —

Nie uwierzysz, szanowny prezesie, że i moje imię stało się powodem głośnéj anegdoty. Krewniak mój, ksiądz kanonik Morski, był zaproszony od króla i potrafił zwrócić uwagę jego, tak przez naukę, jak i gładką wymowę. — Szambelan Węgierski, uwijał się właśnie po sali, gdy król Jegomość, chcąc go zapoznać z kanonikiem, zapytał, czy zna księdza Morskiego?

— Najjaśniejszy Panie! odrzekł poważnie z miną zadziwioną: widziałem cielę morskie, znam konia morskiego, ale księdza morskiego jeszcze nie widziałem!

Uśmiechnęła się prezesowa, gospodarz rozjaśnił zasępione ciągle oblicze i jakby od niechcenia, zapytał, co też porabia na dworze jego dawny znajomy, szambelan Ignacy?

Morski spokojnie odrzekł:

— Obecnie jest w niełasce króla za popełnione niemałe grzeszki. Pozbawiony pensyi, przejadłszy dwie fortunki, spadłe na niego przez sukcesyą, jeździ po szlachcie, okłamuje ją, do czego ma talent osobliwy i pod pozorem, że jedzie odbierać jakiś ogromny spadek po babce na Ukrainie pożycza pieniędzy, których oczywiście nigdy nie odda.

Prezes zbladł ze wzruszenia i gniewu, że dał się tak łatwo uchwycić w sidła, zastawione przez oszusta i odwrócił głowę do okna, aby ukryć swe pomięszanie. Morski mówił daléj:

— Nie tylko w zamku królewskim, ale i w stolicy nie tak prędko będzie się mógł pokazać. Z zamku wy-

*) „Wiem że Morski z entuzjazmem o mnie by gadał z przyjaźni i szacunku, cokolwiek słyszał i widział na sejmie o mnie, że byli łaskawi, chociaż nie zasłużyłem.“ (Z listu Kościuszki do Tekli Żurowskiéj)

rzuciła go niełaska monarsza, a w Warszawie czekają go inni..., aby go uścisnąć serdecznie...

I wymownym ruchem ręki dał do poznania, jakie miałby powitanie.

Żurowski ledwie mógł dosiedzieć na miejscu, gdy wszedł Kniaziewicz: zerwał się przeto na jego powitanie, a po chwili wybiegł do sypialnéj komnaty, po któréj przechadzał się szybko, aż zmęczony usiadł przy otwartém oknie. Powiew świeży orzeźwił go i uśmierzył wzburzenie. Ze spokojném obliczem wrócił do swoich gości.

Kniaziewicz przy powitaniu Toci zręcznie jéj doręczył mały liścik jenerała.

Dziewczę, skraszone rumieńcem, poskoczyło do swéj komnatki i czytało następne słowa:

„*Niech matulce i jej Teklusi szczęście zawsze jak najlepsze służy: dla jej dobra niech się wszystko stanie podług jej życzenia i myśli. Życzę i z serca powiadam, widzieć jak najszczęśliwszą byłoby mi to wielkim ukontentowaniem. Niech niebo matkę i córkę błogosławi, niech i ojca, chociaż nieprzyjaznego mnie, szczodrem zleje bogactwem zdrowia. Żyjcie wszyscy w zgodzie, w przyjaźni, szczęśliwi, a mnie pozwólcie, abym przynajmniej zapatrywał się. Wznaszam teraz ręce z ufnością prawdziwą, że moja modlitwa przyjętą będzie. Dobra noc, niech sen wam przyjazne objekta do upodobania stawi, niech nic nie przerwie snu dobrego. Całuje nóżki wasze*

Tadeusz.“

Po przeczytaniu całego tego listu, załzawiły się jéj oczy, ciężkie westchnienia pierś podniosły, gdy usłyszała głos ojca, na który zadrżała.. Otarła co prędzéj oczęta, schowała liścik i spokojna powierzchownie wróciła na salą.

Niedługo weszli Zaremba i Raciborski; rotmistrz Potocki, został u jenerała na kwaterze. Ożywiło się towarzystwo. Młody kadet usiadłszy przy prezesowéj, opowiadał jéj szczegóły kawalerskiego śniadania i swoje wypadki, że się mało nie udawił i nie zachłysnął z powodu panny Brygidy i rotmistrza Zaremby. Śmiała się tak serdecznie rozweselona opowieścią Raciborskiego, że prezes uradowany jéj humorem, zbliżył się do niéj, a całując jéj ręce, prosił kadeta o powtórzenie przygód śniadannych.

Zaremba tymczasem, w jak najlepszym humorze, opowiadał pannie Brygidzie, jak tajemnicę jego serca wydano, ale rad jest temu, bo otwartość lubi, równie jak i szczerość żołnierską.

Gdy Orlewska na uboczu z cicha rozmawiała z Kniaziewiczem — Tocia bawiła posła, który jéj opowiadał wiele nieznanych szczegółów o Kościuszce. Wreszcie chodząc po sali, weszli na ganek: tu Morski zniżył głos i długo mówił, a chorążanka słuchając go, bladła i czerwieniała na przemiany, wreszcie podając mu rękę, którą ucałował z uszanowaniem, rzekła spokojnym głosem:

— Uważałam to nad moje siły, lecz wzmocniona pana posła radą i zachętą, spełnię odważnie. Ale proszę, niech to zostanie dla wszystkich głęboką tajemnicą. —

Wcześnie rozeszło się zebrane towarzystwo: Matka po modlitwie już snem spokojnym zasnęła: wszyscy spoczywali, dwie tylko osoby czuwały, trawione niepokojem. Żurowski chodził po sali zamyślony i Tocia, w kąciku ukryta, która niespodzianie przed nim stanęła, a rzuciwszy się na kolana, gorącemi łzami oblewała jego ręce.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Podczas burzy.

Ciemno, straszno. Jęk ponury
Wstrząsa ziemią, tętniąc w dali;
Czasem piorun strzeli z chmury,
Czasem niebo się zapali.
Wicher świszcze pieśń pogrzebu,
Wszystko łamie, wszystko zmąca,
Czarne chmury drze, roztrąca,
I urąga dumny niebu!

Ziemia z niebem połączone,
Z góry na dół ciemne smugi,
Kędy spojrzeć; w każdą stronę
Straszny chaos — potop drugi!

Mała chwilka. Czy błysk tęczy?...
Nie, znów niebo się zachmurza,
Znowu przestwór głucho jęczy,
Wicher wyje. Straszna burza!...

Tam gdzieś w głębi, na dnie myśli
Widzę obraz: wichrów tchnienie
Dzikie jakieś kształty kreśli
I kołysze mię w marzenie.
Widzę. Zrazu ciemny, bury,
W tysiąc świateł się roztrzela,
Zmienia w słońce, zmienia w chmury,
W dotykalny kształt się wciela.
Ogrom! Ogrom! Łódź żywota
Na wzburzonych głębiach morza,
Wicher czasu w dal nią miota —
Słychać wrzaski śród przestworza.
Strach jak walka tam zaciekła,
Ciągła, wieczna, nieskończona —
Gorsza nie jest na dnie piekła.
Z wysilenia każdy kona!
Krzyk rozpaczy, jęk boleści,
Zlane w jedno, głucho dźwięczą;
Tam gdzieś cicha łza szeleści,
Tu znów wszyscy, wszyscy jęczą!

Walko, walko ty szalona!
Walko z życiem przeciw śmierci,
Choć zmieniona — niezmieniona,
Tyś rozdarła świat na ćwiercie!

Ziemio, ziemio nieszczęśliwa!
Ileż wieków życia drama,
Wiecznie jedna i ta sama
Na twém łonie się rozgrywa!

Smutny widok. W pierś dziecięcia
Wżarł się, spoczął w duszy głębi,
Już dziś próżna moc zaklęcia —
Wciąż przeklęty krew mi ziębi!
Dziwnaż, że myśl dumna, młoda,
Rwie się — w niebo się zanurza?!
Tam harmonia, wieczna zgoda,
A tu wieczna, wieczna burza!

M. Herburt.



Uczta ludożerców

Uczta ludożerców.

(Z dwiema rycinami.)

Rozległe błonia nad brzegami Amazonki, téj wspaniałéj królowéj rzek, zaćmiewającéj wszystkie nasze Wisły, Reny, Wołgi, zamieszkane są przez rozliczne szczepy dzikich Indyan, które, ulegając wszechwładnemu wpływowi cywilizacyi, marnieją z zadziwiającą szybkością i wymierają do szczętu. Całe okolice w Południowéj Ameryce, przepełnione niegdyś ludnością, stoją teraz pustkami, nieliczne zaś niedobitki dawniejszych mieszkańców, przyjęły wiarę chrześcijańską i odrzuciły narodowy strój przodków. Tylko zwyczaj tatuowania się (t. j. centkowania twarzy cienkiemi igłami, maczanemi w odwarze z indygo) według tradycyjnych godeł szczepu utrzymał się u nich aż po dziś dzień. Symboliczne te ozdoby ułatwiają nadzwyczajnie rozróżnianie pojedyńczych ludów i dozwalają znawcy, o dziesięć kroków oznaczać plemię, do którego ten lub ów Indyanin należy. Rycina przedstawia pełnego nadziei młodzieńca indyjskiego z pokolenia Chumana.



Do najdzikszych szczepów należą Mezajasowie, którzy od niedawna dopiero przestali być ludojadami. Okropne biesiady ludożercze nie były u nich jednakże wypływem zwierzęcego upodobania w mięsie ludzkiém, ale pochodziły raczéj z szalonéj nienawiści do sąsiedniego szczepu Miranjasów.

Według opowiadań starców, zwyczaj ten powstał następującym sposobem. Raz Miranjasowie, błądząc po kraju, znaleźli nad rzeką śpiącego Mezajasa, a że im głód dokuczał, zabili go i zjedli. Uwiadomieni o tém Mezajasowie poprzysięgli Miranjasom śmiertelną nienawiść i postanowili na całym szczepie pomścić krzywdę, wyrządzoną jednemu z swych braci. Jakoż od téj chwili każdy Miranjas, który dostał im się w ręce, padał ofiarą nieubłaganego prawa odwetu. Z religijném namaszczeniem zjadali oni każdego i co więcéj chcąc wyrafinowaną zemstę połączyć z gastronomicznemi wymaganiami, tuczyli go przed zabiciem. Zwyczaj ten utrzymywał się przez długie wieki, przechodząc z ojców na synów i wyrobił sobie z czasem pewne tradycyjne formy. Ostatnia uczta podobnego rodzaju odbyła się w 1846 r.

Miranjas, którego Mezajasowie pochwycili w utarczce, został przyprowadzony do ich wioski i używał przez długi czas zupełnéj wolności oraz wszelkich wygód. Z szczególną troskliwością pamiętano o nim i karmiono go smacznemi potrawami, to téż niezadługo jeniec zaczął tyć widocznie i coraz okrąglejsze przybierać formy ciała. Po trzech miesiącach takiego życia wysłano go raz wieczorem do lasu pod strażą kilkunastu wojowników i kazano mu zbierać drzewo, przy którém nazajutrz miał być gotowany. Przez cały czas téj fatalnéj pańszczyzny, jeniec zachował zupełną obojętność i świstał sobie nawet narodową melodyą, jakby na przekor otaczającym go wrogom, a powróciwszy do wioski, złożył z spokojną miną uzbierany zapas drzewa w miejscu, gdzie starszyzna Mezajasów zwykła była sejmikować. Pilnujący go wojownicy oznaczyli mu na ciele czerwoną farbą najdelikatniejsze kąski, któremi nazajutrz mieli się raczyć, poczém mężczyzni rozpoczęli ochocze pląsy. Osobliwsza, że nawet przeznaczony na rzeź Miranjas brał w nich gorliwy udział i bawił się wesoło, jakby i on nazajutrz miał zasieść do uczty, a nie figurować na niéj jako sztuka mięsa. Kobiety tymczasem zajęły się przygotowaniami do biesiady.

O północy tańce ustały, jeńca odprowadzono do chaty, gdzie się spać położył i niezadługo smacznie zasnął. Równo ze świtem zbudził go głos naczelnika, nakazujący mu wyjść na dwór. Miranjas wstał szybko i wyszedł z chaty, lecz ledwie przestąpił próg jéj, zo-

stał powalony o ziemię dwoma silnemi uderzeniami pałki. Odcięto mu głowę i zatknięto na tyczce, martwe zaś ciało obmyto w rzece i oddano w doświadczone ręce kilku starych kobiet, które pokrajały je na drobne kawałki i takowe po przyprawieniu należytém wrzuciły do ogromnego kotła.

Cała ludność wioski otoczyła wieńcem kocieł, czekając w milczeniu, rychło strawa się ugotuje. (Chwilę tę pełną grozy przedstawia właśnie nasza rycina na str. 60). Wreszcie woda zakipiała — jedna z kucharek sięgnęła do kotła i zaczęła między biesiadników rozdzielać porcye ludzkiego mięsa, oblewając je suto sosem. Nawet wnętrznościom nieszczęśliwego Indyanina nie przebaczono, podobnie jak i kościom, które rozbijano, by szpik z nich wydobyć. Starodawny zwyczaj wymagał bowiem, by nic nie pozostało z ciała nieboszczyka, prócz głowy, którą najdzielniejszy wojownik wziął do domu na pamiątkę straszliwéj uczty.

Ku wielkiemu zapewne zdziwieniu naszych czytelników winniśmy jeszcze dodać, że ci sami biesiadnicy, którzy z taką chciwością raczyli się mięsem ludzkiém, bezpośrednio po ukończonéj uczcie z nie mniejszą skwapliwością starali się go pozbyć.

Nieprzezwyciężone obrzydzenie pomściło zgwałcone prawa natury i zniewoliło ludożerców oddawać napowrót potworną strawę. Tak więc żołądek musiał ich dopiero uczyć ludzkości, która do serc ich nie znalazła przystępu.

z.

Kronika lwowska.

(*S.*) Głowy osypawszy popiołem, wodą lub winem przepłukawszy usta — jeszcze drzemiący, jeszcze pełni wrażeń wczorajszych, silimy się trzeźwo spojrzeć w około... Resztki świec niedopalonych, kwiaty, szkła potłuczone, strzępki ogoniastych sukien dam wczorajszego balu, rozlane na stole wino — to przeszłość! Pustki w kieszeni, wystawione weksle, fizyonomie przeciągnięte, znudzone twarze kobiet, a ospałe dzieci i służby — to teraźniejszość!... W przyszłości zaś czeka nas znowu: doświadczenie w kąt! bal jeden — drugi! weksel trzeci — dziesiąty!... A zatém w ślad ponowne: niewyspanie, długie twarze, nadszarpnięcie fortuny i tak daléj, a zawsze jednako!

Dokładne obliczenie karnawałowych wydatków przekonywa, że tyle straciliśmy tysięcy na zbytki, ile ich nam braknie na rzeczy potrzebne! Tyle w czasie zapust mieliśmy skandalów, iloma uczynkami dobremi zajaśnieć byśmy powinni! Tyle wreszcie pojedynków i pojedyneczków — ile wymagała moda!... Słowem: dobrze jest, jak jest! i dla tego przestajemy mówić o tych rzeczach.

Podobno w jednéj z pieśni indyjskich spotkałem się z poetyczném wytłumaczeniem żądzy nowości w człowieku. Człowiek — mówi poeta — raz pierwszy na świat spojrzawszy, ujrzał piękno. Rzecz druga, którą obaczył, była od pierwszéj piękniejszą! trzecia więcéj od tych dwóch miała piękna . . . a dopiero we śnie zobaczył człowiek taki dziw czarowny, że po wszystkie czasy została w jego piersi żądza spotkania się z nim — nie we śnie! Szuka więc owego dziwu, a choć wiele widział rzeczy — zawsze chce mu się ujrzeć nową, w przekonaniu, że ta może być sennym dziwem czarownym!...

My synowie wieku, który wierzy w to, co zważyć i zmierzyć może, my żądzę nowości w sobie odnieść musimy do źródła mniéj poetycznego, bo — do ciekawości tylko! Tak jest! téj saméj ciekawości, któréj zawdzięczamy pierwszy grzech naszych pierwszych rodziców! Geneza to nie poetyczna, ale prawdziwa! Dążmy więc za żądzą nowości rozwielmożoną u ludzi, tak dobrze nad Gangesem, jak nad Pełtwią i Wartą!

Snem prawych uśpione nasze Towarzystwo naukowo-literackie budzić się zaczyna i na pierwszą czynność ogłasza szereg wykładów naukowych, w których i dr. **Libelt** przyjmie udział. — Dla nas, którym za ciasno w wielkim świecie; dla nas nudzących się rzeczami, które wielki świat obchodzą; dla nas spragnionych duchowéj karmi — wykłady Towarzystwa będą oazą, w któréj orzeźwi się umysł, pokrzepi i sił nabierze do nowéj wędrówki. My przyrzekamy sobie tyle nabytku z wykładów, ile z nich straty czasu odniosą ci, którzy czas ten zużytkowują przy zielonym stoliku, lub na docinpném obmawianiu swych przyjaciół!... Prelegenci i wybór przedmiotów są rękojmią, że zawodu w oczekiwaniach nie doznamy.

Wielki post nie tylko śledziami i marynatą, ale zamierza nas uczęstować jeszcze mnóstwem najrozmaitszych koncertów, wieczorów muzykalnych, teatrów amatorskich, odczytów, posiedzeń towarzystw itd. Wiele, wiele nowości chowa dla nas ów piastun żołądków ludzkich, strzegący je od zbytniego przeładowania niezdrowém mięsem wiosenném! .. Nie bez tego, by św. Józef nie skojarzył jakiéj pary. . . . Przypuszczać wolno, że znajdą się pary, które bez interwencyi świętych, rozejdą się z sobą — bo wszystko bywa na świecie!... Dyrekcya teatru prawdopodobnie także udaruje nas nowością.... Zbywać więc na nich nie będzie! Ale przyszłość nawet najbliższa, zawsze jest przyszłością i pierwszego miejsca musi ustąpić teraźniejszości, o tyle lepszéj, że już **istnieje**. Rozpatrzmy się więc w tém, co mamy obecnie.

Stowarzyszenia dają coraz wyraźniejsze oznaki życia. **Pedagogiczne** rozwija się z dniem każdym, **Stow. oficyalistów prywatnych** liczy swych członków na tysiące. Istniejące nie upadają, nowe mają wejść w życie: Towarzystwo **opieki nad sceną polską prowincyonalną**, Tow. **przyjaciół sztuki dramatycznéj**, drugie **Towarzystwo muzyczne**, **Stowarzyszenie akademików polskich** — nad zawiązaniem tych towarzystw toczą się narady obecnie.

Wielkiego hałasu narobiła tu wiadomość, że prezes Tow. demokratycznego, dr. Smolka, głosował za udzieleniem subwencyi teatrowi niemieckiemu z fundacyi Skarbkowskiéj i dziwi nas wielce, że Nestor naszych patryotów zaniedbał wytłumaczyć swą czynność, by ubliżającym mu gadaniom koniec położyć.

Wydawnictwo dzieł tanich i pożytecznych, jakby nie mogąc się zdobyć na książkę treści żywotniejszéj, dało nam **Żywot biskupa Sierakowskiego** przez hr. Dzieduszyckiego. — K. Wild, wydawszy IV tom **Szkiców Szajnochy**, niezmordowanie daje nam książkę po książce, wyręczając kolegę Milikowskiego. Księgarnia Gubrynowicza i Schmidta wyda wkrótce dwa tomy „**Prób rymotwórczych**“ p. J. Chamca, młodego pisarza, którego talent wiele rokuje.

Z pism lwowskich żadne jeszcze nie upadło, ale téż żadne nie ma potrzebnéj liczby prenumeratorów i wegetują wszystkie.

Dowiaduję się w téj chwili, że święto Cyryla i Metodego (9 marca) będzie i we Lwowie obchodzone uroczyście. Po nabożeństwie, reprezentanci niemal wszystkich narodowości słowiańskich zgromadzą się na wspólną biesiadę w lokalnościach Besedy czeskiéj. Jakkolwiek nie politycznego znaczenia, pocieszający to jednak objaw jedności Słowian.

Sobotnia pogadanka.

Dawno już Poznań nie miał tak muzykalnéj zimy, jak tegoroczna. Każdy niemal tydzień przynosi mu nowe koncerta i to nie amatorskie lub tuzinkowe, na jakie byle która orkiestra zdobyć się może, lecz znamienite, artystyczne popisy pierwszorzędnych solistów. Szczęśliwe uszy nasze biesiadują na nich z prawdziwą lubością, nie troszcząc się wiele o post, który kuzynkom ich ... nogom zabronił dalszych festynów. Wszystkie te biesiady uszne zawdzięczamy nie zagranicznym wirtuozom, lecz naszym rodakom, którzy się widać cichaczem zmówili, by na gród Przemysława wylać całą powódź harmonijnych tonów.

Nasamprzód przyszły smyczkowe kwilenia pp. Władysława Górskiego, Zygmunta Ścigalskiego (Wielkopolanina) i Gustawa Friemanna, potém zabrzmiał il basso assoluto pana Grzywińskiego, który nazwisko swe dla włoskich języków spieścił na Gevini, a na ostatek zostały nam perłowe kaskady p. Karola Tausiga, które w tę sobotę mają z fortepianowéj klawiatury wytrysnąć pod czarodziejskiemi jego palcami.

O p. Tausigu dotychczas w mieście naszém nie wiele było słychać, lecz jest to artysta, którego już zagranica uwieńczyła wawrzynem i zaszczytnym tytułem królewskiego pianisty nadwornego. Zdarzyło mi się widzieć przegląd rozmaitych recenzyi muzycznych prasy berlińskiéj, w których gra naszego ziomka — p. Tausig rodził się bowiem, jak słyszę, w Królestwie — jest nader pochlebnie ocenioną. Pierwsze powagi krytyczne Berlina uznają w nim mistrza, rówiennika Rubinsteina i godnego następcę Liszta, który mu już jako dziecku przepowiedział świetną przyszłość artystyczną. Pan Tausig dokazuje podobno cudów na fortepianie i umie z niego, jak Bosko z swego kapelusza, wydobywać wszystko, co mu się żywnie podoba. Niech zagra preludyum Bacha, a wnet zaczną strumyki szemrać, płaczące brzozy szumieć, a sylfy na motylich skrzydłach wzlatywać z kielichów lilii ku niebu. Gdy chce, wywołuje przed oczy słuchaczów gotyckie kościoły, osrebrzone księżycem cmentarze, to znów krwawe pobojowiska, rozhukane fale morskie, lub pachnące sianożęcia. Pewnego razu, gdy zagrał poloneza Szopena, jeden z słuchaczów jego ujrzał naocznie cały pułk ułanów polskich, jak z czerwono-białemi chorągiewkami przy brzęku szabel i ostróg kłusowali po błoniu. Gotów kto myśleć że to jaki entuzyasta polski oczarowany nutą narodową, miał to patryotyczno-ułańskie widzenie. Ale nie! był to poważny Niemiec, jeden z nadszprowiańskich Arystarchów muzycznych, którego o sympatye dla Polski nikt pewnie nie posądzi, ktokolwiek zna stolicę północno-niemiecką.

Pytanie atoli, czy i w naszém mieście potężny talent p. Tausiga znajdzie równe uznanie u publiczności niemieckiéj i izraelskiéj, co w Berlinie. Poznań bowiem ma tę dziwną własność, że sztuki piękne tracą w nim swój kosmopolityczny, ogólnie ludzki charakter i wpierw muszą legitymować narodowość ręki, która dotyka klawiszy fortepianu, prowadzi smyczek po strónach, lub kierowała pędzlem na płótnie, zanim odpowiedni zmysł różnoplemiennych mieszkańców jego otrzyma pozwolenie napawania się czarem piękna, płynącego z pod ręki artysty. Już Dziennik Poznański zauważył ten osobliwy partykularyzm Poznańczyków i Posenerów przy sposobności koncertów wzwyż wspomnianego tryfolium polskich skrzypków, na których zawsze jedna tylko narodowość figurowała, podczas gdy druga zaledwie przez kilku sterotypowych musikfreundów była reprezentowaną i to — w sekrecie powiedzmy — przybyłych za bezpłatnemi biletami. Sprawiedliwość każe nam jednakże zaznaczyć, że nasi lubownicy nie oddawają piękném za zadobne i nie zaglądają tak skrupulatnie w narodowościowe legitymacye przyjezdnych artystów, pomnąc na to, że Muzy nie ludzkie, lecz olympijskie mają pochodzenie.

Bądź co bądź, mam mocną nadzieję, że sobotni koncert p. Tausiga świetnie wypadnie, choćby i tą razą porozlepiane po rogach ulic niemieckie afisze pozostały bezużytecznym tylko stafażem obok polskich braciszków. Publiczność nasza bowiem z pewnością tłumnie pospieszy złożyć hołd znamienitemu pianiście i uroczyć się zarazem czarownych dźwięków ambrozyą. Będzie to zresztą wyborna sposobność przerwania wielkopostnych nudów, które w braku odczytów publicznych i ojczystéj sceny zaczynają się już potrosze dawać wszystkim we znaki. Jedząc śledzie i zapijając przyprawny kminkiem żurek, nie możemy chwilowo nic innego robić, jak przeżuwać wspomnienia balowe i śledzić z ciekawością rozwój rozmaitych serdecznych znajomości, pozawiązywanych w polce lub w mazurze. Jedne z nich rozwiewają się z wiatrem jak mgła mimo czułych spojrzeń, drugie rwią się gwałtownie kwaśnym koszykiem, inne znów układają się w maryażowe pączki, które odczekawszy czas swój, w cieplejszéj rozkwitną porze. Gdy jednakże okoliczności naglą, to i z zielonéj łodygi może od razu kwiat dziki wystrzelić, choć wtedy nie jest zazwyczaj tak wonnym. Za to świat ma przynajmniéj o czém rozmawiać, bo od czasów Klaudyana raptus Proserpinae najmilszym był zawsze rozdziałem szkandalicznych kronik.

XX.

ROZMAITOŚCI.

Dostał się, jak Piłat w Credo.

(Zdarzenie prawdziwe.)

Obrazek w Sobótce, przedstawiający dziki taniec murzynów nad źródłami Nilu, nasunął mi myśl opisania podobnéj hecy, któréj raz byłem świadkiem n. b. nie Afryce, lub Azyi, lecz w samém sercu ucywilizowanéj Europy.

Będąc na uniwersytecie w Monasterze, zapoznałem się dość blizko z akademikiem niemieckiego pochodzenia, który powszechnie był znanym pod przydomkiem Cantata. Był to Teuton najczystszéj krwi, lecz wcale godny koleżka. Mieszkałem z nim w jednéj kamienicy, a jego Frau Wirthin była i moją gosposią. — Niemiec szczególną czuł do mnie sympatyą i razu pewnego, chcąc mi dać dowód swych przychylnych uczuć, zaprosił mię w charakterze nadzwyczajnego gościa na posiedzenie piwne swego Związ-

sku. Uczynił to naturalnie za porozumieniem się z przełożonym swym i po uzyskaniu placet od całego gremium związkowego. — W tym dniu był on właśnie szczęśliwcem, który ponosił koszta zabawy, obchodził bowiem uroczystość swych urodzin! — Grzeczność nie pozwalała mi się wymawiać — przyjąłem więc zaprosiny, i to tém ochoczéj, że od dawna już chciałem przypatrzeć się z bliska niemieckiéj pohulance. — Stawiłem się na minutę w oznaczoném miejscu. — Jakim sposobem wypróżniliśmy pierwszą beczkę piwa — jakie honory czyniono mojéj osobie z prawdziwie sentymentalną uprzejmością—jak przełożony związku wraz z marszałkami gromił rapierem wybryki nowicyuszów — i wreszcie z jakim taktem wydawał hasło do picia, czyli tak zwane Saufkommando, pomijam dla krótkości. Najciekawszą była konkluzya uroczystego aktu. Kiedy już w drugiéj beczce dno zaczęło się pokazywać, a w głowach moich towarzyszów szumiało, jak w mielcuchu, napełnili wszyscy szklannice resztkami piwa i drożdży i na skinienie prezesa postawili beczkę na stole, a na niéj siadł w trzyłokciowéj wysokości mój poczciwy Cantat z rozpromienioném obliczem i najeżoną czupryną, istnie jak młody jaki carzyk północy.

Podniósł się — skinął i głosem silnym zanucił:

Ich bin der Fürst von Thorn	Książę Torunia tu stoi,
Zum Saufen auserkoren;	Który w piciu berło dzierży.
Ihr alle seid erschienen,	Od was mi, lennicy moi,
Mich fürstlich zu bedienen!	Czołobitność się należy.

Podczas tego śpiewu całe towarzystwo stanęło parami w rzędzie i rozpoczęło niebawem na cześć swego improwizowanego księcia toruńskiego szalone gonitwy naokoło stołu. Czterdziestu przeszło „synów Muz“ w dzikich podrygach, w dziwacznych susach i dziwaczniejszych jeszcze przysiudach, wszakże to piękny widok!?

Wreszcie po kilkunastu minutach na dany znak, całe szanowne grono młodzieży padło na kolana i złożyło obyczajem wschodnim czołobitność swemu monarsze. Następnie wręczył prezes księciu szklannicę z piwem, który ją duszkiem wychylił. Śpiew się znów rozległ — i rozpoczęły się pląsy od nowa. Ta sama, co wprzód, zabawna ceremonia przy składaniu hołdu i danin, powtórzyła się raz drugi i trzeci. Cantat spełniał kufel po kuflu, które mu podawali jego poddani. Bohater dnia tego i biedna ofiara lekkomyślności w półtoréj godzinie, pijąc dwudziesty podobno seidel, chwiać się nareszcie począł na tronie. Twarz mu się gwałtownie mieniła, usta siniały, oczy nabierały koloru mlecznego i ku ogólnemu zadowolnieniu, wśród śmiechu i krzyku runął bez zmysłów z beczki na ziemię. Co potém robił jeszcze, wolę zamilczeć.

Lecz nie tu koniec Gambrinusowego turnieju. Rozmarzone umysły pamiętały o dawnych zwyczajach — wiedziały że w tak fatalnym przypadku, gdy monarcha zdezerteruje z tronu à la Walezy, natenczas naród do nowéj winien przystąpić elekcyi. Zdecydowano się w jednéj chwili; ktoś szepnął: „Der Pole wird unser Herr und König sein.“ Zanim się spostrzegłem, siedzę już na beczce i spoglądam na pijane niewolniki moje.

Singen! Singen! krzyczano. — Klątem się na wszystkie bogi, że nie umiem, ani wiem, co? i jak? ale trudna była sprawa — Niemcy nie znali ekskuzy.

Dobyłem tedy głosu książęcego i zaśpiewałem, co mi w głowie utkwiło z piosnki mego poprzednika:

Ich bin der Fürst der Thoren,
Zum Saufen . . . . . .

daléj nie mogłem, bom został zagłuszony. Was, was! Wir sollen Thoren sein, wołali na całe gardło panowie studenci, pieniąc się od złości i nuże wszyscy na mnie. Było kuso ze mną! Czterdzieści kilka kufli, podniesionych w górę, groziło mi tym samym smutnym losem, jaki harfiarze króla Derwida zgotowali lechickiéj Gwinonie. Zrozumiałem od razu całą grozę sytuacyi i czułem, że tylko jakim konceptem zdołam się uratować od sińców i pół kopy pojedynków. Stanąłem więc na stole i głosem herszta Napierskiego, co to z drzew bisiory i czubki chmur zrywał, zawołałem: „Panowie, uciszcie się! Niechaj wpierw skończę mą pieśń, a potém dopiero mnie sądźcie.“ — Przycichła burza a ja drżącym trochę głosem zaimprowizowałem następujący czterowiersz:

Ich bin der Fürst der Thoren,	Książę durniów tutaj stoi,
Zum Saufen nicht geboren.	Który pijatyk się boi.
Schafft mir erst meine Vasallen,	Stawcie lenników méj ziemi,
Dann trink' ich mit euch Allen.	A chętnie trącę z wszystkimi.

Skończyłem — przez chwilę była cisza, bo każdy zastanawiał się dopiero nad znaczeniem słów moich. Wreszcie ktoś z trzeźwiejszych zrozumiał sens i krzyknął, że w piosence mojéj nie ma nic obrażającego dla prześwietnego towarzystwa. „Pijmy więc na zgodę!“ wybełkotał prezes i znowu czterdzieści kufli zwróciło się ku mnie, lecz w pokojowych już zamiarach. Trąciłem z wszystkimi, ale zamiast wypić resztki cerewizyi, wylałem ją zgrabnie na ziemię, a potém chyłkiem się wyniosłem. W progu uderzyłem o jakiś przedmiot. Był to nieszczęśliwy Cantat, który odebrawszy szturchańca, podniósł się trochę z ziemi i przez sen mruknął; „Ich bin der Fürst von Thorn“, „A jam jest Piłatem w waszém toruńskiem Credo!“ rzuciłem mu w odpowiedzi i czmychnąłem do domu. Sęp P.

Różne myśli.

Przez pięć lat pieść syna, przez dziesięć karć go, a potém bądź mu przyjacielem.

Jeżeli głupi poda czasem dobry projekt, niechaj go zawsze mądry wykonywa.

Zagadka.

Jestem pustak zawołany!
Ród wywodzę od Saturna,
Całonocne lubię tany,
Chociem zaś sztuczka czupurna,
Znam respekt przed proszkiem świętym.
Gdym jest na dwoje przeciętym,
Oznaczam już nie figielki,
Lecz chłost, grzywn, turm natłok wielki.

(Rozwiązanie szarady w nr. 7: ***Kosa, Osa, Kos.***)

Wiadomość o nowych książkach.

Czarna księga 1863—1868 przez autora powieści „O Horonżanie“ 8vo. 336 str. Kraków. 1 tal. 20 sgr.

Z księgi téj, jak mówi autor, Europa przekona się o bezprawiach moskiewskich i krzywdach wołających o pomstę do Boga, do monarchów i rządów Europy.“ — My dodamy jeszcze, że dziełko to zawiera szczegóły o naszéj braci, w Sibirze i ciemnicach rosyjskich więzień jęczących, nader zajmujące, nieraz okropne.

Rosego A. Kalendarz gospodarski, czyli konotatnik na wszystkie dnie roku 1869. Poznań. 25 sgr. i 1 tal.

Żałować należy, że ten tak starannie opracowany kalendarz, zawierający praktyczne tabele, wyszedł tak późno.

Roczniki Sejmików Gospodarskich w Toruniu. Zeszyt I i II zawierający przebieg narad i rozprawy odczytane na sejmikach z r. 1867 i 1868. Toruń. 1 tal.

Trento X. H, Kazania na wielki post. Z niem. 434 str. Gniezno. 2 tal.

Nader staranne wydanie pod względem zewnętrznym — wartość wewnętrzna, kazań znakomitego kaznodziei z zakonu O. O. Jezuitów X. T., jest teologom z wydań oryginalnych znaną.

Mieczysław Leitgeber.
Księgarnia i skład nut.

PUSZKA DO LISTÓW.

Panu Wł. St. w Ino.: Użyjemy z chęcią. — Panu Józ. Kr. w In.! Może Pan masz co innego w tece? — Panu Dr. Łep. w Krak.: Nie omieszkamy korzystać z łaskawéj wskazówki. — Panu Bol. Rog. w Pozn.: Dziękujemy. — Panu Szrem. w War. Jeżeli numer jaki nie dojdzie, prosimy reklamować wprost u poczty. — Panu Kocz. w Pl. Zechciéj nam Pan wpierw przesłać małą próbkę. — Panu Skrz. w Die: Dziękujemy.

Redaktor odpowiedz.: M. Leitgeber w Poznaniu.—Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu. — Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.